Cena 50 gr.

Przyjaciel PSA

MIESIĘCZNIK

Rok I Listopad 1936 Nr. 8

MIECZYSŁAW CENA, dr. med. weterynaryjnej

Psi problem Fausta

Problem wiecznej młodości posiada nierównie starszą i szacowniejszą tradycję, niż wszystkie inne marzenia z tej samej beczki Danaid z formułą na wytwarzanie sztucznego złota, kamienia filozoficznego, i wszystkiemi tajemniczemi eliksirami na czele. Motyw zachowania wiecznej młodości snuje się w wielu opowieściach i baśniach, jak nieuświadomione pragnienia zepchnięte w otchłań podświadomości, które ujawniają się dopiero podczas snów.

Ten „problem Fausta" dopóty tłukł się w naiwnych kręgach białej i czarnej magji, nie mogąc doczekać się naukowej realizacji, dopóki nie znano dokładnie maszynerji żyjącego ciała i mechaniki zużywania się i starzenia organizmu. Dopiero skaczące siedmiomilowemi krokami odkrycia z dziedziny chirurgji i medycyny eksperymentalnej i najnowsze zdobycze fizjologji i jej dwóch młodych gałęzi, hormonologji i endokrinologji pozwoliły na uchylenie rąbka zasłony zaciemniającej tę arcyważną tajemnicę natury i dały możność ciekawym oczom uczonych podejrzeć naskrytsze tajniki życia i poznać zawiłe sekrety cudownej,



Wilczur Borsuk przed operacją

żywej maszyny organizmu w czasie jej akcji.

Te rozliczne i wszechstronne badania wypełniały powoli, jak słowa w białych polach krzyżówki, poszczególne pozycje odwiecznej naukowej łamigłówki, naprowadzając kapłanów wiedzy na właściwą drogę, skąd już czysta logika nasuwała najracjonalniejsze rozwiązanie tego gordyjskiego węzła nauki i zwróciła wielowiekowe dociekania poomacku na proste ścieżki badań doświadczalnych. W doprowadzeniu do tak świetnych wyników odznaczyły się głównie dwie dziedziny medycyny: chirurgja, która podała racjonalną metodę przeszczepiania gruczołów, i fizjologja, szczególnie zaś jej dwie najmłodsze latorośle, endokrinologja, zajmująca się funkcjami gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu, i hormonologja, traktująca o chemicznej koordynacji funkcyj ustrojowych.

Zdolność życia komórek i żywych tkanek, mimo oddzielenia ich od ciała zwierzęcego, skłaniała biologów i lekarzy już XV w. do prób przeszczepiania żywych transplantatów bądź na inne miejsce ciała tego samego osobnika, bądź na inny organizm zwierzęcy. Najłatwiej udaje się taka operacja u niższych zwierząt: robaków, gadów, płazów i ptaków. W XVIII w. był nawet modny „trick" chirurgiczny, polegający na odcięciu skastrowanemu kogutowi ostrogi, która należy do kompletu jego rycerskiej armatury, i wszczepieniu jej w rozcięty w tym celu grzebień. Podziwiano później bujny rozrost pazura, który wszczepiony w silniej unaczynione środowisko, rozwijał się o wiele lepiej, niż w swojem normalnem miejscu. Jeden z uczonych wszczepiał nawet embrjonalne listki zarodkowe i oczy tygodniowych embrjonów pisklęcych pod skórę młodych kur i stwierdzał dalszy rozwój tych tkanek w otoczeniu starszych komórek.

O wiele trudniejsze są podobne eksperymenty u ssaków. W ogólności dodatni wynik przeszczepiania jest tem pewniejszy im tak dawca jak i odbiorca materjału szczepiennego są młodsi i im obaj partnerzy tego chirurgicznego „kupna-sprzedaży" są bliżsi sobie gatunkiem, rasą, pochodzeniem, a nawet pokrewieństwem. Jeszcze na długo przed poznaniem działania gruczołów o wewnętrznem wydzielaniu przeszczepił Hunter w r. 1767 jądra koguta na kurę, przeprowadzając pierwszą tego rodzaju udałą próbę maskulinizacji ptasiej samicy. Z chwilą jednak, gdy poznano działanie tych tajemniczych gruczołów, przeszczepianie ich nabrało szczególnej wartości. Tak więc technika zabiegów była już wcześniej zgrubsza rozwiązana, na dalszy zaś rozwój zagadnienia musiała ludność i świat zwierzęcy czekać przez dwa wieki.

Odkrycia tego dokonał w r. 1910 Steinach, według którego teorji gruczoły płciowe — jądra i jajniki — składają się z komórek wytwarzających plemniki i jajka oraz z komórek międzyzrazikowych, wydzielających wewnętrznie hormony, które wchłaniane przez krew, działają na cały organizm. Dowiódł on również wpły-



13-letni ratlerek przed operacją

wu tych gruczołów nie tylko na fizyczną, ale i na psychiczną stronę osobnika. Podstawowem doświadczeniem Steinacha było odmłodzenie i przedłużenie życia szczurom, które po operacji żyły o rok dłużej, niż inni przedstawiciele tych gryzoniów, pozostawionych na pastwę zęba czasu.

Metoda wielkiego uczonego, „wroga starości nr. 1", została wypróbowana z powodzeniem nie tylko na zwierzętach ale i na ludziach, a rozwinął ją drugi nieprzyjaciel starzenia się, Woronow, któremu obserwacje eunuchów u egipskiego kedywa, gdzie był nadwornym chirurgiem, nasunęły myśl przeszczepiania tkanki jądrowej samcom a jajnikowej samicom, w celu podniesienia żywotności i odmłodzenia organizmu.

Operacje te, przeprowadzone u zwierząt gospodarskich, mogą mieć duże znaczenie ekonomiczne, ale w codziennej praktyce lekarsko-weterynaryjnej pacjentami poddającymi się temu zabiegowi są najczęściej psy, jako zwierzęta przedstawiające dla swoich właścicieli wysoką wartość idealną. Jeden z praktykujących lekarzy weterynarji, dyrektor szpitala zwierzęcego w Grazu, dr. Schouppé, który przeprowadził już wiele tego rodzaju operacyj na psach, a miał możność obserwowania samego mistrza Woronowa przy pracy, tak ocenia, zachowując daleko idący objektywizm, wartość zabiegu przeszczepiania gruczołów płciowych: „Operacja odmładzająca Woronowa wpływa z całą pewnością dodatnio w niektórych przypadkach na zużyty spowodu starości organizm zwierzęcia. Chociaż kilku następstw jej, jak głuchoty i zaćmy starczej, operacja Woronowa nie usuwa, nie obniża to jednak wartości zabiegu. U bardziej wartościowych zwierząt hodowlanych, a szczególnie u psów, operacja Woronowa stanowi wdzięczne pole dla praktykujących lekarzy weterynaryjnych.



Zgrzybiały staruszek przed operacją i energiczny samiec po operacji



13-letni ratlerek po operacji

Kontynuując w dalszym ciągu swoje wywody, oparte na szeregu operacyj wykonanych na starych psach w wieku od jedenastu do osiemnastu lat, stwierdza, że u wszystkich zwierząt, którym zależnie od płci wszczepiono bądź skrawki jąder badź jajników, zauważono jaskrawe przemiany na lepsze. Psy stawały się żywsze i jakby odrodzone, uzyskiwały spowrotem piękną, młodocianie błyszczącą szatę futrzaną nawet w tych wypadkach, gdy już świeciły goliznami starczych łysin, znikały wszelkie utrudnienia w bieganiu, gdyż nawet silnie zatłuszczone okazy wraz z zabiegiem odmładzającym przeprowadzały jak gdyby kurację odtłuszczającą. W niektórych wypadkach stwierdzono nawet ustąpienie zastarzałej egzemy, która nie poddawała się przedtem energicznemu leczeniu, a zniknęła bez śladu pod wpływem dobroczynnego działania małego wycinka gruczołu, pobranego z młodego i pełnego witalności zwierzęcia.



Wilczur Borsuk po operacji

Dr. Schouppé stwierdza też nie tylko fizyczną, ale i psychiczną przemianę przeżywającego drugą młodość osobnika. Kilkunastoletni psi starcy, skurczeni przed operacją we dwoje, po jej wykonaniu konkurują z owymi 27 staruszkami angielskiego przytułku, którzy odmłodzeni metodą Woronowa, porzucili łaskawy chleb i zaczęli pracować na swoje utrzymanie. Tak samo w psiem społeczeństwie zanotowano powrót odmłodzonych psów myśliwskich, a nawet policyjnych, które przypomniały sobie dawne, dobre czasy i z całą przyjemnością przeżywały drugą, darowaną dobroczynną ręką chirurga młodość i związane z nia przyjemności.

Dr. Schouppé stwierdził u wszystkich psów powrót dawno nieraz zanikłej pobudliwości płciowej, a podaje nawet swego rodzaju curiosum w postaci zdjęcia mikroskopowego przekroju jądra 19-letniego psiego starca, wykazując aktywność jego gruczołów znajdujących się w okresie spermogenezy, co jest wynikiem wręcz znakomitym, jeśli się weźmie pod uwagę bardzo podeszły wiek pacjenta. W niektórych wypadkach właściciele, znający swoje psy wiele lat przed operacją, podawali że ustępowało nawet do pewnego stopnia starcze przytępienie słuchu, a niekiedy nawet cofał się proces zaćmy starczej. Operacje te pozwalały starym samicom cieszyć się jeszcze rozkoszami macierzyństwa, tak jak samcom przywracały płodność.

W Polsce przeprowadza na wielką skalę w tym zakresie badania i prace profesor uniwersytetu poznańskiego, Stanisław Runge, którego liczna zwierzęca klientela rekrutuje się, prócz gospodarskich zwierząt domowych, z wielkiej ilości psów. Swojemi operacjami, przeprowadzonemi według zmodyfikowanej przez siebie metody Woronowa, osiągnął piękne rezultaty, co szczególnie uwidoczniło się na psach użytkowych. Powracał on bowiem emerytowane psy-nemrody i psy-„Sherlocki Holmesy" na dawno opuszczone przez nich stanowiska.

Szczególnie głośne stały się zdumiewające wyniki prac polskiego uczonego przeprowadzonych na łatwych do skontrolowania psach policyjnych, owczarkach niemieckich (wilczurach), emerytach państwowego zakładu hodowli i tresury psów policyjnych w Poznaniu. Znakomite rezultaty tych i innych operacyj, które są dzisiaj powszechnie uznane w świecie naukowym, mimo początkowej rezerwy i nieufności, otwierają nowe horyzonty i możliwości na przyszłość.

IRENA KRZYWICKA

Wróg domu

O godzinie dziesiątej wieczorem rozległ się straszliwy wrzask w ogrodzie. Ryk bólu, pomieszany z charkotaniem, z mnóstwem zawiłych zgrzytów. Wobica? Szaruś? Koty? Pobiegłam w mokre zimne krzaki i przy blasku latarki usiłowałam dojrzeć co się dzieje. Patetyczny krzyk powtórzył się znowu, połączony tym razem z odgłosami darcia, szarpania, z wściekłym pomrukiem. Ucichło. Wobica nadbiegła z ciemności wściekłym galopem, długiemi białemi susami przeszywając wilgotne nocne powietrze. To nie ona krzyczała. Strumień światła z latarki padł na wysoki parkan odgradzający podwórze. Na parkanie, ach tak: futrzany zwał ogromnego cielska Szarusia, zaledwie o ton jaśniejszy od mrocznego tła otaczającej go nocy. Przed nim krótkowłosy dużo mniejszy kadłubek intruza, obcego kota, z białem lusterkiem na nosie i pysku, z kilkoma wulgarnemi łatami na całem ciele. Obcy kot doszedł właśnie do końca parkanu, i pozostawało mu albo skręcić pod prostym kątem, albo skoczyć naoślep wdół. Ale nadole czekały psy, szczekające, wyjące ze zdenerwowania, zziajane, zgrzane, spocone, gotowe dać z lubością ujście, spaczonemu przez wychowanie, instynktowi — wytarmosić cudzego kota!

Sytuacja była groźna, obcy przybysz miał przeciw sobie zbyt wiele wrogich potęg. Przygnała go tu tylko miłość dla Wobicy, której zapewne był już wielokrotnym kochankiem, sądząc z kilkorga jej bardzo podejrzanych, krótkowłosych i plamistych dzieci. Tristan i Izolda, zbyt krwiożercze, musiały odmaszerować do domu ciągnięte za obroże, które im niemal nałaziły na uszy, z grzbietami wygiętemi w kabłąk, upokorzone, z rozpaczą w sercu, zapierając się mocno łapami w wilgotną ziemię. Ostateczną rozgrywkę pozostawiło się rywalom, bez żadnej obcej interwencji.

Obcy kot, z nosem przytulonym do ostatniej sztachety, trwał nieruchomo, nie mogąc się zdobyć na decyzję. Za nim Szaruś zjeżony, straszny, z fosforyzującemi oczami, podobny do sowy, złowieszczym głosem śpiewał pieśń wojenną. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z pospolitem miauczeniem. Było to wycie przeciągłe i bardzo melodyjne, popis operowy, wyśpiewany najczystszym sopranem, długą długą linją, na jednym oddechu.

— Au-u-u-uuuuu—śpiewał Szaruś spokojny i natchniony! — uuuu — oooo! Przybłęda! Cham! Zbójca! Wydzierać miłość mojej Wobicy, mojej czystej białej, nieskazitelnej żony, ooooooooo!

— Szarusiu, — wołałam, — nie łudź się, nie okłamuj sam siebie. Jesteś wspaniały i porywający, nie ośmieszaj się!

Wobica przeżywała najpiękniejszą chwilę życia — apoteozę. Przytulona do ziemi, długa, biała, tarła to lewe to prawe ucho o ziemię, niedbale gryzła jakieś trawki i położywszy uszy na łbie gładkim jak u foki, nerwowo i rozkosznie słuchała przenikających śpiewów Szarusia. Z mieszkania dochodziło rozpaczliwe szczekanie i miotanie się psów.

— Uuuuuu — śpiewał kot tego domu — aaaaa! Zakradać się do mego ogrodu, napastować moją żonę, denerwować moje wierne psy, wywlekać te brudy przed moimi ludźmi, ooooo! Poćwiartuję, rozszarpię! Klau, plau, glau! — zabełkotał nieprzytomnie jak indyk i sprężynowym susem runął na przeciwnika.

Spadli obydwaj na stos gałęzi sosnowych, zakotłowali się, zawrauczeli, zacharkotali, spleceni w jedno ciało o dziesięciu głowach, dwudziestu ogonach i setce łap sterczących ze wszystkich stron. Z ciała tego dobywał się krzyk tępionego gacha, przenikający, rozpaczliwy, tchórzliwy i lwi pomruk Szarusia.

I nagle ze swego upojonego odosobnienia wytrysła [illegible] Runęła na pomoc Szarusiowi, cała zjeżona, w obronie legalności małżeństwa, świętości domowego ogniska. Graniasty kochanek z białem lustrem na nosie nie miał już dla niej żadnego uroku. Wszyscy przecież byli przeciwko temu romantykowi, zakradającemu się przy świetle księżyca do miejsc najlepiej obwarowanych drutem kolczastym, psami i ludźmi, bo mu kiedyś między gałęźmi mignął promień białej puszystej kity dystyngowanej kotki. Ona, która wymykała się do niego mokrą i zimną marcową nocą i wśród tającego śniegu dawała się rozgrzać jego miłości, ona, która pozwalała mu na wszystko, a potem, lunąwszy go w pysk, wracała przemokła do domu z żółtym błyskiem w oczach, dziś rzuciła się na niego z ukrycia w obronie męża, cnoty i terytorjum które uważała za swoje. Szaruś zapadł się na chwilę między gałęzie, a ona tymczasem gnała nazbyt wiernego kochanka znów granią płotu, waląc go pazurami, zionąc z pyska ogień i siarkę, aż go razem z Szarusiem zapędzili na sam prawie szczyt wysokiej sosny, a sami położyli się wpobliżu, pilnując więźnia.

Wtedy wypuściłam psy. Od pierwszej chwili opowiedziały się przeciw intruzowi. Wyleciały z domu piekielnie zdenerwowane, obleciały dziedziniec, zadyszały, zawęszyły, przejechały nosem po Szarusiu, liznęły po pysku Wobicę, która odwróciła się z niesmakiem, pognały wgłąb ogrodu i zawstydzone własnym brakiem orjentacji, wróciły pod drzewo, na którem, niby świeczki na choince, błyskały fosforyczne ślepia przybłędy. Wzburzone, zgrzane od mnóstwa wrażeń, solidarne z domowemi kotami, przyległy pod drzewem, gotowe bronić cnoty Wobicy do ostatniego tchu. Tak zostawiłam tych czworo sprzymierzonych, ożywionych jedną myślą, połączonych jedną nienawiścią.

Ale o trzeciej w nocy rozległy się znowu charkotliwe ryki i zgrzytliwe jęki, połączone tym razem z okropnym skowytem Tristana i rozpaczliwem ujadaniem Izoldy. Wrzask był tak okropny że zerwałam się z łóżka i w koszuli wybiegłam przed dom, prosto w mokre i szeleszczące, burzliwe od porywistego wiatru zarośla. Czy obcy kot wydrapał oczy Tristanowi? Kto kogo uszkodził? Jakie przegrupowanie sił mogło nastąpić? Kto się przeciw komu sprzymierzył? Tristan jest psem zbyt poważnym i zrównoważonym aby tak skowyczeć bez przyczyny. Jak go znaleźć, bo w gęstej, rosistej ciemności niepodobna nic dostrzec.

Wreszcie widzę. Nazbyt porywczy Tristan postanowił widocznie wdrapać się na drzewo. Skończyło się jednak na tem że przednie jego łapy utkwiły między sztachetami płotu odgradzającego podwórko. Wyprostowany nadnaturalnie, z łapami w dybach, wył rozpaczliwie zbolały i upokorzony. Obok niego miotała się oszalała Izolda, nie wiedząc czy ratować przyjaciela czy lecieć na pomoc Szarusiowi, znowu splecionemu w jeden kłąb z obcym kotem, który widocznie skoczył wdół przerażony perspektywą wdarcia się Tristana na drzewo, powierzchownie oceniając psie możliwości. Oba koty, wirujące jak szara mgławica, ryczące jak huragan, zwarte ze sobą na śmierć i życie, potoczyły się pod krzewy. Ich śmiertelne stękania, mordercze krzyki, skowyt Tristana, rozpaczliwe ujadanie Izoldy utworzyły zamęt, zgiełk i muzykę piekielną, ogłuszającą wśród zamarłej uroczystej nocy. Rozległy się gwizdki policjantów i tupot kłusa biegnących nóg. Wymordowanie całej naszej rodziny odbyłoby się z pewnością ciszej.

A ta która biła osłabłego kochanka, która pchnęła własnego męża, odważnego Szarusia, do morderczej bitwy, która zmobilizowała obcy żywioł — psy — i poruszyła nawet — bagatela! — policję, wiotka biała Wobica siedziała już na kominie w kuchni, liżąc się obojętnie i ze zdumieniem rozglądając się dokoła, jakby nie rozumiała co się działo. A tymczasem zziajany, wyczerpany, piekielnie zdenerwowany Tristan, przypadłszy głową do moich kolan, cicho jęczał:

— Ostrzegałem, szczekałem! Wy uważacie że wrogiem domu jest obcy człowiek w nocy albo łobuziak w ogrodzie, zrywający owoce. Wieczny błąd ludzki! Wrogiem jest przedewszystkiem każdy wóz i konie, potem rower postawiony przy furtce, a potem — i to najbardziej — obcy kot. Oto co nadewszystko zagraża domowi i wam, drodzy, najmilsi, niepraktyczni ludzie!

TADEUSZ HELLER

Bolączki przyjaciela psa

Drobnym, nie rzucającym się w oczy, petitowym drukiem piszą kroniki kryminalne prasy codziennej o wypadkach znęcania się nad zwierzętami. Ktoś zakatował na śmierć chorego konia, ktoś wyrzucił przez okno kota, ktoś pastwił się nad psem, wyłupiał oczy ptakom, odcinał krowom dójki, łamał kurom skrzydła i nóżki, ugotował kota żywcem w ukropie... Oto kilka tylko ujawnionych faktów barbarzyńskiego dręczenia zwierząt według skąpych relacyj gazet. Ale gdyby nawet zebrać wszystkie, byłyby one jeszcze nie dość liczne w porównaniu z temi, które nie dochodzą wogóle do wiadomości publicznej albo też nie stanowią dostatecznie ważkiego materjału dla wszczęcia postępowania sądowego.

Plaga znęcania się nad zwierzętami, groźniejsza niż możnaby przypuszczać, obchodzić powinna żywo nie tylko ciasne koła przyjaciół zwierząt, gdyż jest sprawą całej naszej kultury, smutnem świadectwem niskiego stanu naszych uczuć humanitarnych. I niechaj nie mówią ludzie „poważnie myślący", że mamy teraz „większe zmartwienia", że musimy najprzód zatroszczyć się o zapobieżenie wypadkom pastwienia się człowieka nad człowiekiem. Wyjątkowo okrutne epizody rewolucji hiszpańskiej dowiodły po raz już niewiadomo który, że te sprawy pozostają ze sobą w bardzo ścisłym związku, że kto entuzjazmuje się celnym rzutem groty w kark bezbronnego byka, ten zdolny jest do najbardziej wymyślnych okrucieństw wobec człowieka.

O pogłębienie stosunku do zwierząt troszczy się u nas w coraz większym stopniu szkoła, książka, gazeta, specjalne towarzystwa i doroczne obchody, pozatem film i radjo. Cóż, gdy na tem tle coraz bardziej rażące swym zacofanym konserwatyzmem stają się normy prawne i uprzedzenia społeczne, stające na drodze praktycznemu realizowaniu istotnego zbliżenia się do zwierząt, które nastąpić może tylko przez współżycie z niemi. Zdawaćby się mogło, że społeczeństwo i państwo czynią wszelkie wysiłki, aby utrudnić hodowanie zwierząt, a tem samem utrwalić owo — że użyję określenia Norwida — „rozdalenie między człowiekie a naturą", które jest głębszą przyczyną zaniku uczuć humanitarnych i brutalnego znęcania się nad zwierzętami.

Każdy kto hoduje psa, wie dokładnie co ma się tu na myśli.

Więc przedewszystkiem podatek komunalny, wynoszący piętnaście złotych rocznie, sumę niemałą, a w każdym razie przekraczającą możliwości skromnego budżetu rodzin robotniczych, urzędniczych lub nawet wielu inteligenckich. Co więcej — sumę pobieraną z pobudek zgoła nieumotywowanych, skoro np. hodowcy innych zwierząt domowych nie są obowiązani do żadnych opłat. Wysokość wpływów z tego podatku nie usprawiedliwia również absolutnie faktu jego pobierania. Tak więc największy w Polsce budżet samorządowy m. Warszawy na r. 1935/36 przewiduje z tego źródła zaledwie 100 000 zł, co po odtrąceniu kosztów inkasa i administracji, stanowi w skali budżetu dość nikłą sumę wpływów. Tymczasem ten właśnie podatek staje się pośrednio główną przyczyną bezdomności psów, a to nie tylko pociąga za sobą wzmożone niebezpieczeństwo publiczne, lecz również przyczynia się do znaczniejszych wydatków na utrzymanie rakarni miejskiej.

Ale nie to jest, oczywiście, najpoważniejszą bolączką właściciela psa.

Gorzej daleko przedstawia się sprawa zwalczania wścieklizny, opierająca się na dwóch istniejących w tej materji rozporządzeniach, które przewidują zakaz szczepienia psa pokąsanego, mimo iż statystyka wykazuje aż 99% udanych zabiegów*). Rozporządzenie przewiduje coprawda, że w wypadkach wyjątkowych uzyskać można zezwolenie ministra rolnictwa, ale kto zna biurokratyczny tok spraw w naszych urzędach, ten wie że z wyjścia tego skorzystać w praktyce nie można, tem bardziej że niewiadomo właściwie jakie wypadki uważać można za „wyjątkowe". Czy będzie do nich należał np. fakt domniemanego zarażenia psa, któremu zawdzięcza się ocalenie życia? I czy troska o ocalenie wiernego przyjaciela nie jest dostatecznie ważnym powodem do powstania „wypadku wyjątkowego"?

Tak czy owak, wprowadzono u nas w zakresie walki z wścieklizną przestarzały system niemiecki, zabraniający szczepień i nakazujący natychmiastowe zabicie psów „nawet wówczas, gdy można tylko przypuszczać, że się zetknęły z takiem (chorem na wściekliznę) zwierzęciem" (art. 67 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 22 sierpnia 1927 r.) Prawodawca nie wziął pod uwagę, że medycyna nie daje nigdy stuprocentowej pewności szczepień; nie zatroszczył się ponadto o wniknięcie w ducha uchwały międzynarodowej konferencji paryskiej do walki z wścieklizną, odbytej w r. 1927 pod egidą Komitetu Higjeny Ligi Narodów, która (godząc się zresztą z obecnym stanem rzeczy) zaleca jednakże wprowadzenie corocznych szczepień. Nie zmienił wreszcie swego stanowiska pod wpływem faktu, że w tych państwach, gdzie szczepienia są obowiązkowe czy też tylko dozwolone (Japonja, Portugalja, Stany Zjednoczone, Włochy, Czechosłowacja, Węgry, Jugosławja, Austrja, Hiszpania, a nawet Kuba i Marokko) „zmniejszyła się znacznie ilość psów chorych na wściekliznę, a co najgłówniejsza — zmniejszyła się liczba osób pokąsanych przez psy wściekłe" (dr. Łabędź).

Z mocy obowiązujących rozporządzeń giną u nas rok rocznie w okresie paniki, rozdymanej przez część niepowściągliwej prasy, tysiące zdrowych psów, a mimo to wypadki pokąsania zdarzają się częściej niż gdzieindziej, gdzie zerwano już z niehumanitarnym i niecelowym, jak się okazuje, systemem.

Gdybyż przytem rozporządzenie o walce z wścieklizną było przynajmniej zupełnie konsekwentne. Gdzież tam! Na tle drakońskich przepisów dla ogółu psów zwalnia ono od niektórych swych postanowień psy policyjne, pociągowe, owczarskie, myśliwskie oraz psy dla ociemniałych, które mogą stać się w ten sposób źródłem istotnego niebezpieczeństwa dla ludzi i pozostałych psów.

Co więcej: władze administracyjne pierwszej instancji, opierając się na istniejącym zakazie szczepień ochronno-leczniczych (a więc dokonanych już po zarażeniu psa), zabraniają, naszem zdaniem najzupełniej niesłusznie, nawet szczepień ochronnych (zapobiegawczych), chociaż stwierdzono statystycznie, że dają one dodatnie rezultaty aż w 99,85%. Tak więc, jeśli właściciel psa zechce go zawczasu uchronić od możliwości zarażenia się wścieklizną, wszystkie jego starania spełzną na niczem, gdyż żadnemu lekarzowi weterynarji szczepień takich dokonywać nie wolno, a gdyby się nawet podjął, to nie otrzyma w Instytucie Higjeny potrzebnych szczepionek. W przekładzie na język potoczny zarządzenie to oznacza, że władze najzupełniej pozbawiają zaufania do obywateli i zgóry zakładają, że jeżeli ktoś chce wydać znaczniejszą kwotę na szczepienie psa, czyni to tylko dlatego, że pies już jest zarażony.

Nie na tem jednak koniec.

Art. 329 rozporządzenia ministra rolnictwa z dn. 9 stycznia 1928 r. przewiduje przy wyjeździe psa z „obszaru zagrożonego wścieklizną" przymus okazania zaświadczenia wydanego przez powiatowego lekarza weterynarji o dokonanem badaniu. Pomińmy już milczeniem fakt, że zaświadczenie to kosztuje aż zł. 11.— i jest w gruncie rzeczy tylko czczą formalnością, ponieważ jest rzeczą niesłychanie trudną stwierdzić, czy pies nie jest już zarażony wścieklizną (opowiadano mi o wypadku, że w trzy godziny po uzyskaniu takiego zezwolenia pies pokąsał swego pana, a kiedy padł, stwierdzono w jego mózgu obecność ciałek Negriego). Gorzej znacznie przedstawia się sprawa z tem, że rozporządzenie czyni zastrzeżenie tylko w stosunku do „obszaru zagrożonego", w praktyce zaś starostwa traktują cały kraj jako stale zagrożony i domagają się świadectw w każdym wypadku wyjazdu, co oczywiście znacznie podraża koszt utrzymania psa, nie mówiąc już o szeregu zbędnych formalności.

Wobec tych udręk, wynikających dla posiadacza psa z obowiązującego u nas systemu „walki" z wścieklizną, bledną wszystkie inne, pomniejsze bolączki.

Należy do nich zakaz wprowadzania psów do lasów podmiejskich pod pretekstem, że pies gotów jest tam trzebić zwierzynę. Przepraszam: któryż to pies poluje sam, nie tresowany do tego celu lub nie poszczuty przez swego właściciela? A pozatem: jakaż to „zwierzyna" znajduje się w podmiejskich lasach? Ptaki i wiewiórki, najzupełniej bezpieczne na gałęziach drzew, lub wyjątkowo zając, o którym powszechnie wiadomo (choćby z „Pana Tadeusza"), że w lesie drwi sobie nawet z łowczych psów?

Nie o wiele łatwiejszy jest także spacer z psem po mieście. Już obowiązek równoczesnego stosowania kagańca i smyczy wydaje się wymaganiem zbytnio pedantycznem. Okazuje się jednak, że i to zabezpieczenie nie wystarcza, aby wprowadzić psa do urzędu, hotelu, cukierni, a nawet do niektórych kamienic prywatnych. I oto właściciel psa, który znalazł wreszcie wolną godzinę, aby przespacerować się ze swym pupilem, staje co krok wobec rozmaitych drobnych i nieumotywowanych utrudnień jak przed nieprzebytym murem. W rezultacie pies spędza prawie cały dzień w mieszkaniu, gdzie wskutek ciasnoty i braku powietrza zmniejsza się jego odporność na choroby, potęgując zjawisko stałego karłowacenia się rasy.

A przecież tak łatwo byłoby uregulować te sprawy bez żadnej szkody dla społeczeństwa ludzkiego. Wydane niedawno po dłuższych zabiegach zezwolenie na przewóz psów tramwajem są tego najlepszym dowodem.

*) Dane rzeczowe zaczerpnięto z broszury dr. Maksymiliana Łabędzia „Szczepienia ochronne i ochronno-lecznicze przeciw wściekliźnie u psów" (Warszawa 1934).

JERZY STRZEMIĘ-JANOWSKI

Pod pokrywką sztucznych frazesów

Tak się złożyło, że ilekroć zabieram głos w tem tu piśmie, tylekroć wykłócam się z kimś — ja, herold „Przyjaciela Psa" najentuzjastyczniejszy. Poprzednim razem (nr. 2) musiałem uszczknąć nieco „humanitarnej" sławy św. Franciszka z Assyżu, nazywającego wodę „siostrą" a pochwalającego obcinanie nogi żywej świni, w imię zasady oczywiście iż niema ofiary, którejby nie należało ponieść dla bliźniego, dla człowieka! (prekursor wiwisekcji). Odwieczne, skandaliczne, obrzydliwe wywyższanie się człowieka ponad całą przyrodę, dlatego tylko, że udało mu się w jakimś momencie dobrego humoru matki-natury przesmyknąć się przez wał przeszkód, które ona przezornie stawia wszelakiemu stworzeniu, aby się nie wybijało, nie rozrastało, aby się w rozwoju zatrzymywało przykładnie, zadowolone z takiego poziomu inteligencji, jak termit, jak mrówka, jak lemur czy pszczoła!

Dziś przychodzi mi zaczepić — o ileż gwałtowniej! — pracę dr. Stefana Millera. Na łamach „Przyjaciela Psa" zakrawa ona poprostu na ironję. „Przyjaciel Psa" broniący nagle wiwisekcyj, dokonywanych na psach, i to broniący z wyrafinowaną perfidją, w formie najzdradliwszej, bo malującej zbrodnię wiwisekcji jako niewinne doświadczenie, miłe zwierzęciu a człowiekowi korzystne.

Obrona wiwisekcji w guście zamieszczonej w nr. 4 „Przyjaciela Psa" dezorjentuje najzupełniej społeczeństwo — społeczeństwo, chętnie przyjmujące wiadomość, iż owa wiwisekcja, która bądźcobądź w przypływie wyrzutów sumienia trochę go niepokoi, nie jest niczem okrutnem czy barbarzyńskiem. No jakże? Pisze przecież p. dr. Miller z taką pogodną szczerością, napatrzywszy się na pracownie prof. Pawłowa w Leningradzie: „Sława to wielka rzecz, niejeden gotów i życie dla niej poświęcić, ponieważ jednak niektórzy są skłonni powątpiewać, czy psy (sławie w laboratorjach fizjologicznych służące — przyp. mój) są również tego zdania, dodam, że praca w laboratorjum pociąga za sobą szereg zupełnie realnych korzyści, a mianowicie: chleb, (raczej kaszę), dach nad głową (w luksusowej psiarni), stałą opiekę lekarską, oraz emeryturę na starość. I to wszystko za jednogodzinny dzień pracy!".

Dużo jest w świecie bezrobotnych i tak głodnych że nawet ów „psi chleb" byłby dla nich wyżynną zdobyczą — śmiem jednak powątpiewać, czy którykolwiek z najnędzniejszych zgodziłby się na owe luksusy, na „opiekę lekarską" i chleb, za ów jednogodzinny dzień pracy w laboratorjum, jako objekt wiwisekcyjny. Ciekawy jestem jakby się któryś zwolennik wiwisekcji zapatrywał na taką „jedną godzinę" zarobkowania: obdarty np. żywcem, bez narkozy, ze skóry i poddany doświadczeniu „reakcji obnażonych mięśni na uderzenie kijem", t. j. bity po obdartem ze skóry ciele, miejsce w miejsce, przez nieograniczony czas (może nie całą nawet godzinę!), ale aż do skutku, aż jako potworna bezkształtna krwawa masa wyzionąłby ducha (lub nie). Do tego z przeciętą tchawicą, aby wyciem nie denerwował mężów nauki. Przez rurkę oddechową poniżej krtani, wpompowywanoby mu powietrze, aby zbyt prędko nie umarł, albo wstrzykniętoby mu kurarę, która coprawda nie znieczuliłaby go wcale, ale pozbawiła głosu i władzy.

Do „jednogodzinnego dnia pracy" psa w laboratorjum należy poddanie się wielu innym podobnym zabiegom: oblewa się go np. terpentyną i podpala, poczem nadmiar troskliwości lekarza utrzymuje go przy życiu jak najdłużej, aby studjować rany oparzeliskowe. Prof. Pawłow, który się interesował wyższą niejako sferą zwierzęcia, „intelektem" psa, na starym swoim przyjacielu psie dokonał rozkosznej próby psychologicznej; czy jest coś w stanie zabić w tem stworzeniu przywiązanie? Więc, witając się czule z nim, oblał psiaka znienacka ukropem i skwapliwie potem notował, że ta „jedna wielka rana", z wypalonemi wrzątkiem oczami, lizała go po rękach ufnie i serdecznie, wijąc się w męce.

W tym „jednogodzinnym dniu pracy", miażdży się psu rdzeń, wyłuszcza się mu gałki oczne, zamraża się go w beczce z lodem, wycina się mu wszystkie możliwe narządy wewnętrzne i — broń panie Boże, aby pies nie był w złej kondycji cielesnej i moralnej! Właśnie chodzi o to, aby do badań stawał objekt aktywny, reagujący precyzyjnie na każde cięcie — najczęściej zresztą chodzi o tę właśnie reakcję: sposób reagowania mięśni na okładanie kijem, możność pływania w wodzie po wyborowaniu mózgu. Czasem i ów termin jednogodzinny bywał nieco naruszany. Słyszałem o wypadkach, gdzie pies leżał przybity gwoździami do deski wiwisekcyjnej, w pełni świadomości, 145 godzin (wyraźnie sto czterdzieści pięć godzin).

Ale na szczęście, ruch antywiwisekcyjny rośnie, i coraz to potężnieją szlachetne towarzystwa antywiwisekcyjne. Wpisują się do nich świetne osobistości ze świata nauki, profesorowie, lekarze, pisarze — wpisują się całe szpitale i sanatorja. W małej Austrji związek liczy już przeszło czterystu lekarzy. Hitler zniósł jednem pociągnięciem pióra wiwisekcję w Niemczech. Pod duchowem przewodem największego człowieka Francji „wczorajszej" Clemenceau, powstała w Paryżu Grupa Parlamentarna Ochrony Zwierząt i Walki z Wiwisekcją. Przystąpili do niej posłowie wszystkich klanów politycznych oprócz — rzecz charakterystyczna — komunistów, razem 168 osób. W Londynie dawno funkcjonuje „Batersea Antivivisection Hospital", w którym nie może pracować żaden lekarz uprawiający wiwisekcję.

Już Mark Twain wołał z najwyższem oburzeniem: „Zadaję sobie pytanie, czy zaszczytnie jest należeć do pokolenia, do którego należą również „wiwisektorzy?"... Kyber oświadcza, że „przyzwoity człowiek nie chce zawdzięczać swego zdrowia torturom zwierząt, tak samo jak nie chce się wzbogacić przez kradzież i morderstwo". I to powiedzenie, mojem zdaniem, jest najtrafniejsze. Wszakże udana kradzież, udane morderstwo jest bezsprzecznie doraźną korzyścią dla wykonawcy. Ratuje nieraz danego osobnika z nędzy, wspomaga go w wychowaniu dzieci, może nawet w popieraniu sztuki i nauki — a jednak któż z nas ośmieli się pochwalić zbrodnię i kradzież, któż nazwie je środkiem koniecznym i zbawiennym!? A cóż jest zbrodnia kradzieży, cóż jest krótki akt mordu, wobec nieprzerwanej męki zwierząt, leżących na stole wiwisekcyjnym po całym „cywilizowanym" świecie — na tych stołach „nad któremi słońce nie zachodzi"!?!

Wprawdzie na tym cywilizowanym świecie mieści się nawet czrezwyczajka, nawet aneksja Abisynji, ale — mój Boże! — jest to dorywcze, okropne, lecz nie jest ciągłe, nieprzerwane, nie jest z gatunku tego co ludziom odbiera sen, co podłą bierność człowieka na zło i okrucieństwo wstrząsa i drażni.

Nauka lekarska oparta na wiwisekcji, — powiada prof. Much, — z fałszywem wyprowadzaniem wniosków ze zwierzęcia na człowieka, jest najjałowszem bujaniem i fantazjowaniem wszystkich czasów. Chęć poznania praw normalnego życia na podstawie objawów zatrutego lub okaleczałego zwierzęcia, jest tak samo naiwne, jak studjowanie harmonji na rozstrojonej katarynce — dodaje prof. Oehninger.

Dr. Riedlin potępia bez apelacji naukę o wiwisekcji: jest ona narządem nauki, międzynarodową zarazą i masowym obłędem lekarskim, powstałym tylko z chorobliwego przerostu ciekawości... Inni przeciwnicy wiwisekcji, jak np. dr. Strunckmann, twierdzą, że „każdy wiwisektor nie jest niczem innem, jak świadomym lub nieświadomym agentem wielkiego przemysłu farmaceutycznego". Dr. Ciaburri znajduje w nich tylko fałszywe ambicje: „Uprawiają pseudonaukę, lecz sprężyną ich czynów jest ambicja i geszefciarstwo. Większość doświadczeń robią poto tylko, żeby móc się przeciwstawić „kochanemu" koledze...

Słowem, wyścig sadyzmu! wyścig głupich ambicyj i pożądań i — zmysł wygody. Wygodniej jest studjować doraźnie, efektownie, na krwawym drgającym ochłapie zwierzęcia żywego, niż ślęczeć mozolnie całemi latami nad jednym problemem, niż przyjść do tych samych lub lepszych wyników, lecz drogą szlachetną, żmudną, nieefektowną i długą.

Brzmią mi w uszach słowa mego przyjaciela, kompletnego ateisty, który mi powtarzał, chyba słusznie: „Wiesz, stałbym się nawet dewotem i sodalisem, gdyby się pojawił jakiś Mesjasz, któryby umarł na krzyżu dla zbawienia zwierząt. Bóg ludzi, mordujących na prawo i lewo, nic mi nie mówi"...

Prof. Nothnagel, jeden z największych lekarzy świata, dowodził, że tylko współczujący człowiek może być dobrym lekarzem — a w jakichże rękach leży zdrowie nasze, naszych dzieci i bliskich?! W rękach ludzi, wychowanych na odorze prosektorjów i na przeraźliwem wyciu fizjologicznych gabinetów doświadczalnych.

A doświadczeniom tym, najczęściej, najliczniej służy pies, z czworonogów najbardziej nerwowo przeczulony, wrażliwy, o psychice głębokiej i czułej. Dr. Miller zamyka jego krwawą niepotrzebną mękę w aksamitnych ramach „jednogodzinnego dnia pracy", ba! — nazywa nawet pracownię wiwisekcyjną azylem psim!

„Schwytany gdzieś na ulicach Leningradu, nie uniknąłby (pies) pewno smutnego losu, jaki zazwyczaj czeka bezdomne psy, które wpadną pod opiekę zakładów oczyszczania miasta. Szczęśliwym jednak trafem (!!!) dostał się do laboratorjum prof. Pawłowa"..

Hycel byłby go zabił elektrycznym przyrządem, czy też pałką, na miejscu, a w laboratorjum prof. Pawłowa żyje do dziś, na czarującej zasadzie „jednogodzinnego dnia pracy", przyczem „pomiędzy psem i eksperymentatorem rozwija się stosunek najbardziej przyjacielski"..

— Lubię psa, ale na stole wiwisekcyjnym — mówił kiedyś na łamach „Kurjera Warszawskiego" prof. Tur.

Ten zdaje się był szczerszy i bez skomplikowanych frazesów tłumaczył nam... co lubi.

JÓZEF WITTLIN

Kilka słów o Mucku

Tego lata pętał się koło mnie przez kilka tygodni pies, chyba najbardziej godzien litości ze wszystkich psów, jakie w życiu widziałem. Gdyby Dostojewskij pisał o psach, niewątpliwie Mucyk zostałby jednym z jego bohaterów. Jest to pies nie tylko poszkodowany na ciele. Dusza jego, to jedna wielka rana. Istnieją psy w ludzkiem rozumieniu piękne, dobre, mądre lub też brzydkie, głupie, złe. Do żadnej z tych kategoryj Mucyk nie należy. Naogół zjednywają nas psy odrazu lub też z miejsca od siebie odstręczają. Są to psy, jak gdyby prostolinijne, przynajmniej napozór nieskomplikowane. Po powierzchownem zapoznaniu się z niemi, wiemy mniejwięcej z kim mamy do czynienia, a jeśli nawet uczynią coś czegośmy się po nich nie spodziewali — skłonni jesteśmy te lekkie lub poważniejsze odchylenia od uznanego przez nas typu poczytywać za kaprysy lub wybryki.

„Rozgryźć" typ Mucka potrafiłby tylko jakiś tęgi psi psychoanalityk. Ja poprzestanę na zanotowaniu kilku znamiennych rysów jego natury.

Towarzystwo Mucka bywa dla ludzi nieżżytych z nim niezwykle męczące. Wszystkie nasze zmysły reagują na jego obecność — źle. Mucyk jest mały, suchy, o sierści nominalnie białej, w rzeczywistości szarej, brudnej, koloru jesiennej chmury. Włos tego ostrowłosego, francuskiego foxa — dawno już stracił wszelką ostrość. Patrząc na Mucka ma się wrażenie, że jest to żywa, poruszająca się, mocno już zużyta i wyliniała wycieraczka do butów. Wysmarowany stale (szczególnie na grzbiecie) jakąś złowonną maścią leczniczą, wiecznie lepki, wilgotny, zbolały, rozdrgany i rozdrażniony, ociera się nerwowo, histerycznie o ludzkie kolana, niby świnia o płot. Widocznie maść działa świerzbiąco. Ludzie niechętnie przystają na te fizyczne kontakty, niosące psu ulgę, i usuwają się od niego z odrazą. Szczególnie niemiły jest dotyk jego przednich kościstych, patyczkowatych, pozbawionych wszelkiej miękkości, zimnych łap. Ma się wrażenie że są to sztucznie ożywione, odcięte łapki zajęcze lub królicze. W niektórych domach używa się takich łapek do ścierania kurzu. Łapy te „proszą" w jakiś niepokojący, histeryczny sposób. Coś nieprzyzwoitego jest w przymilności Mucka i coś niesamowitego zarazem. Jakby to nie był pies, zwierzę domowe, lecz stworzenie nie z tego świata lub ze świata powieści Ewy Szelburg-Zarembiny. Najpiękniejsze w Mucku są jego oczy, ciemne, głębokie, gorejące. Przypatrzywszy się tym oczom bliżej — znajdujemy w nich cierpienie i obłęd. Podczas gdy wszystkie ujemne cechy biednego Mucka budzić mogą odrazę i litość, głos jego może doprowadzić do rozpaczy. Pół biedy gdy tylko szczeka. Ale jego wycie, będące niekiedy ludzkim, spazmatycznym płaczem, mieści w sobie całe piekła obłędu. To nie jest normalne wycie psa, lecz syntetyczny lament samej szpetoty i upośledzenia. Ludzkim, jednotonnym dyszkantem szturmuje ten „parszywy pies", Bóg jeden wie jakie, nieba czy piekła. Bóg wie, jakiej łaski się doprasza, z jakich tortur pragnie się wyzwolić. Zawodzi tak zapamiętale i przeraźliwie jakby się upominał o sprawy stokroć ważniejsze niż jego własny, nieszczęsny los. Najstraszliwszą torturą Mucka jest muzyka. Nienawidzi jej wszystkiemi strzępami swej pokiereszowanej duszy i ostatniemi zasobami strun głosowych. Czarne pudło, zwane przez ludzi fortepianem, to dla niego kaźń. Mucyk jest śmiertelnym wrogiem każdej melodji, poważnej i skocznej, Beethovena i Chopina, Golda i Petersburskiego. Walczy z muzyką do upadłego, do kresów wytrzymałości swojej i naszej membrany. W czasie gry na fortepianie lamentuje zgodnie z tonacją tej gry, niektórzy utrzymują, że śpiewa. O, nie jest to śpiew, lecz skowyt pijaka odprowadzanego do komisarjatu. I niema tu kompromisu: albo on musi ulec, albo muzyka. Najczęściej ulega on. Wyrzuca go się z domu, w którym Beethoven, Mozart lub Debussy uszczęśliwiają ludzkość kosztem psiego bólu i hańby.

Wiele dałbym za to, żeby móc odgadnąć co się dzieje w Mucku gdy słucha muzyki. Jak wspomniałem wyżej, nie jestem psim psychoanalitykiem, lecz mam wrażenie, że reakcja Mucka na muzykę zarówno instrumentalną jak wokalną, to protest pokraki przeciw samemu Pięknu.

Mucyk ma osiem lat. Nie zauważono u niego do tej pory miłosnego popędu. Organizm jego widocznie sam zrezygnował z przywileju rozmnażania się i rozkoszy. Nie wiem czy zwierzęta są obdarzone świadomością własnej urody i szpetoty, wydaje mi się jednak że Mucyk musi wiedzieć o tem, jak bardzo jest szpetny. Musi wiedzieć o tem, że żadnej suce nie sprawi rozkoszy. A psich lupanarów, o ile nam wiadomo, niema.

Jak się odnosi do ludzi? Naogół lojalnie. Jest posłuszny i zdyscyplinowany. Wchodzi tylko tam gdzie mu wchodzić wolno, ale przyjazny stosunek ludzi do innych, normalnych psów sprawia mu wyraźną przykrość. W tem niema nic szczególnego. Wszystkie psy domowe są zazdrosne. Mucyk jednak musi wyczuwać to że ludzie go się brzydzą. Nie ma wszakże żalu do tych co go odpychają. Przeciwnie. Jak każda istota upodlona, gardzi tylko nieszczęśliwszymi od siebie. Wobec całych spodni i czystych butów zachowuje się przyzwoicie. Rzuca się tylko na żebraków, na głuchoniemych, obszarpanych włóczęgów. Niekiedy i na bose, chłopskie dzieci. Silnych, zdrowych, sytych i w mniemaniu jego, szczęśliwych — szanuje.

Trzeba mu wiele ludzkiej czułości, skoro miłość cielesna dlań nie istnieje. Potrafi desperacko napraszać się o pogłaskanie. Oprócz jego szlachetnej pani, która traktuje go narówni z innemi, normalnemi psami, mało kto zdobędzie się wobec niego na czuły gest. Pogłaskanie Mucka, przytulenie go do siebie, to ofiara. Ma się potem błogie uczucie spełnienia miłosiernego uczynku, który kiedyś będzie policzony tam gdzie liczą nasze dobre i złe uczynki.

Świętym Franciszkiem z Assyżu, całującym trędowatego, można się poczuć, biorąc Mucka na kolana.

Skąd wzięła się ta niedola? Jako szczeniak był Mucyk dobry i piękny. W pierwszym roku życia przejechała go bryczka. Przetrąciła mu kręgosłup. Paraliż tylnych nóg. W owym czasie Mucyk wstydził się i płakał, gdy robił pod siebie. Nie pozwalał dotykać siebie nikomu, nawet własnej pani. Gryzł ją, chociaż zaraz robiło mu się przykro.

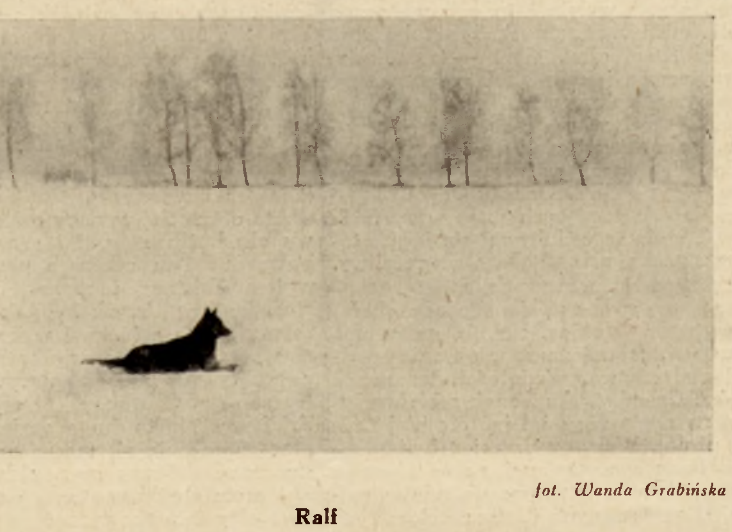
Dzisiaj Mucyk też potrafi niespodziewanie ugryźć. Gospodarze uprzedzają o tem każdego gościa. Poniektóry gość życzy Muckowi śmierci. Podobno ma ona być lepsza od „takiego życia". Lecz w Mucku jest wiele życia. Lubi leżeć na olbrzymiej skórze, ściągniętej z zastrzelonego dzika. On i ta skóra służą niekiedy obcym do wycierania butów.

Pies na fotografji



fot. Fryderyka Olcsińska

Bobuś i Burza



fot. Wanda Grabińska

Ralf

Psy naszych czytelników



Dandie-dinmont-terrier Ali, własność Haliny Sperlingowej w Krakowie



Polski owczarek Kaprys, własność Andrei Budzynowskiej w Kielcach



Fox-terrier Ferdek, własność Włodzimierza Saleckiego, zdjęcie Eugenjusza Dobrowolskiego



Doberman Dżek, własność Jerzego Neumarka



Cocker-spaniel Macki, własność Cecylji Nalepińskiej, zdjęcie prof. Władysława Szymonowicza

Czy wolno było zabić?

Odpowiedzi na ankietę zainicjowaną przez André Gide'a

W czerwcowym numerze „Przyjaciela Psa" podaliśmy za „Nouvelle Revue Française" list-ankietę André Gide'a w sprawie postępku jego szwagra, który uratował od okrutnej śmierci powoli topionego psa, ogrzał go, zaniósł do domu, nakarmił, gdy zaś przekonał się, że pies nie był rasowy i że „nie miał... żadnych szans", zastrzelił go.

W liście swoim pisał Gide m. in.: „Pomyślałem sobie, iż byłoby rzeczą interesującą zwrócić się z tem niewielkiem opowiadaniem do dzieci w szkołach Z. S. R. R. Byłbym bardzo ciekaw ich reakcyj w tej sprawie". Reakcje te możemy obecnie poznać za pośrednictwem moskiewskiej „Littérature Internationale", która w szóstym tegorocznym zeszycie na czołowem miejscu (!) wydrukowała dziesięć odpowiedzi dziecięcych: osiem indywidualnych, jedną zredagowaną w imieniu „trzeciej klasy szkoły Gubcewskaja okręgu Jarosławia" i jeden protokół zebrania dyskusyjnego uczniów i uczenic czwartego oddziału szkoły powszechnej w Czencowsku.

Tylko dwie z tych dziesięciu odpowiedzi aprobowały zabicie psa. Inne słabiej lub ostrzej potępiały ten postępek. Oto jak uzasadniał swoje zdanie uczeń szóstej klasy szkoły średniej Pawieł Fomin:

„Mojem zdaniem zrobiłby lepiej, gdyby go nie wyciągał z wody, aby dać fałszywą nadzieję biednemu psiakowi. Gdyby go nie wyciągnął z wody, kto inny możeby go ocalił i przedłużył życie biednego małego pieska. Jabym tak postąpił: gdybym go ocalił i gdyby mi nie był potrzebny i gdybym nie miał środków na żywienie go, nie uśmiercałbym go. Starałbym się umieścić go u kogoś, zrobić zeń podarunek komuś, ktoby potrzebował psa. A gdybym nie znalazł nikogo, wypuściłbym go na wolność; niechby poszedł dokąd chce i sam sobie szukał pożywienia. Alebym nie zabił".

Trafiały się w tych odpowiedziach i akcenty „klasowe". Najsilniej wystąpiły one w zabawnym liście czternastoletniego Daniiła Nabokina, „korespondenta prasy dziecięcej". Przytaczamy go tutaj niemal w całości:

„Według mnie człowiek ten postąpił źle i okazał się bardzo okrutny wobec psa. Zamiast dać schronienie psu, którego ocalił, postąpił całkiem odwrotnie: dawszy mu się najeść, zabił go. Tylko dla swojej przyjemności ocalił go, dał mu jeść i zabił go strzałem z fuzji. Postępek swój tłumaczy tem, iż nie może żywić „niepotrzebnych gęb". A równocześnie widzimy, iż chowa wielką ilość psów „dobrej rasy". Nie chce zaś splamić swoich rąk opieką nad „psem chamskim".

Mojem zdaniem człowiek ten źle postąpił. Uważamy, iż postępek jego jest okrutny, całkiem niekulturalny i mógł zdarzyć się tylko w środowisku burżuazyjnem. Ja na jego miejscu ogrzałbym psa i dałbym mu schronienie, nie pytając się do jakiej „szlachetnej" rasy należy".

Dyskusja w czwartym oddziale szkoły powszechnej w Czencowsku skończyła się uchwaleniem rezolucji, ujętej w trzy punkty:

„1) Szwagier ocalił psa od długiej i okrutnej śmierci.

2) Dzięki swojej troskliwości i dobroci usunął od męczonego pieska strach przed śmiercią.

3) Nie zachowawszy z winy ustroju społecznego psa przy życiu, zakopał jego trupa i uwolnił w ten sposób społeczeństwo od możliwej zarazy".

Rezolucja ta nie wyraża poglądów wszystkich uczniów oddziału. Całkiem np. różnym a oryginalnym przekonaniom dał wyraz w trakcie dyskusji Wania Siedow:

„Piesek skazany na śmierć zdechłby spokojnie zdala od oczu ludzkich, nie niepokojąc nikogo, a szwagier przez swój głupi postępek sprawił kłopot całemu światu".

A oto dwa głosy polskich czytelników „Przyjaciela Psa".

*

Ludzie, którzy polują, a także hodowcy — a inni, mój ty Boże! — cenią psa nie dla niego samego, ale, że ma uszy, łapy, pysk, takie właśnie jak trzeba. Takie jakie przynależą danej rasie. Więzy psiej rasy są panom myśliwym i panom hodowcom, snobistycznie i bezapelacyjnie narzucone. Narzucone przez kogo? Czy czasem nie przez takich samych, jak i oni, ludzi? Czy czasem nie przez myśliwych i hodowców także?

Posiadacz rasowego psa, zamiłowany hodowca i myśliwy w rodzaju szwagra André Gide'a, dla którego polowanie jest głównem zajęciem — czy może kochać swojego psa, czy może lubić psy wogóle? Nie, nie wierzę w to. Jakże można lubić jedne zwierzęta, a zabijać z przyjemnością, z rozkoszą, z zapałem, inne? Znam w Warszawie kilku myśliwych. Ich psy, wytresowane, nerwowe wyżły, pomagają im przez kilka lat w zabawach mordowania. Po kilku latach muszą ustąpić, ponieważ nie mają już takiego węchu, jaki miały, ani tej energji, która była udziałem ich lat młodzieńczych. Po kilku latach stają się stanowczo mało przydatne swoim panom w tropieniu zwierzyny. Myśliwy rozgląda się za innym psem. Bada jego uszy, łapy, pysk, sprawdza genealogję, kupuje. Starego ofiarowuje znajomym na wieś. Czasem usypia. Rzadko, bardzo rzadko zatrzymuje. Bo dwa psy w domu, to zwiększony kłopot, koszt i nieporządek.

Czy znawca psów widzi w swoim psie — indywidualność? Czy dostrzega w nim stworzenie niezależne? Rzadko. A jeśli spostrzeże w psie jakąś cechę wymykającą mu się z rąk, wówczas się tem martwi. Uważa to za coś złego. I usiłuje przełamać psi upór czy wolę, usiłuje zatrzeć taką czy inną właściwość jego charakteru, usiłuje pokierować nim po swojemu, tak jak trzeba, jak to jest przyjęte i uznane. Zwykle mu się to udaje.

I wtedy jest dumny. Mówi: pies ułożony przeze mnie. Ach, jakąż przyjemność sprawia mu fakt, że ten rasowy, ładny pies, to jest jego pies, że jest on tak, tak właśnie przez niego u ł o ż o n y, że to jest niemal jego t w ó r.

Człowiek, o którym mowa w ankiecie „Przyjaciela Psa", zapalony myśliwy i hodowca, wyratował kilkumiesięcznego psa od śmierci, a w kilka godzin po wyratowaniu, zastrzelił go. Zdenerwował się wprawdzie nieco tym m u s e m, tą k o n i e c z n o ś c i ą hodowcy, które nakazywały mu zgładzić ze świata miłe, wdzięczne szczenię. Ale wnet się usprawiedliwia, mówi o ciepłej zupie, o rozgrzaniu, o pieszczotach, jakie dane były temu psu przed śmiercią. Mówi pięknie o jego wyratowaniu. A jednak wyrokuje bez namysłu (a raczej: bez zastanowienia): „nie miał, biedak, żadnych szans". O jakież to szanse chodzi temu człowiekowi? Czy zobaczył on w wyratowanym psie poprostu — życie? Czy zobaczył w nim wdzięk, przymilność, czułość? Czy nie pomyślał o przyszłości — o psie tym jako przyjacielu? Nie, szwagier André Gide'a spostrzegł przedewszystkiem u tego psa za wysokie łapy. Zauważył ze współczuciem, że biedak. No tak, bo go już przeznaczył na śmierć. Zauważył także, że bękart. Proszę, więc i w psim rodzie także nie brak bękartów?

André Gide pisze o ograniczonych możliwościach materjalnych swego szwagra. Czyżby starał się go tem choć trochę usprawiedliwić? Czyż jest jakiekolwiek usprawiedliwienie? A te ograniczone możliwości! Jeżeli ktoś ma na polowania, ten napewno nie jest takim nędzarzem, aby nie mógł utrzymać w swoim domu mało wymagającego, nierasowego psa. Ale otóż to: nierasowego! Co tu dużo mówić: człowiek, który wyratował psu życie, patrzał na niego tylko zimnemi oczami hodowcy.

I chyba jest przekonany o zupełnej słuszności swego postępu? I chyba po miesiącu nie żałował już wcale, mimo że przez tydzień trwał jeszcze w wielkim gniewie. W gniewie na kogo, panie hodowco, czy na co? Na siebie samego? Na pęta, które panu nałożyli inni panowie hodowcy? Czy może — tak, przy okazji — na całą ludzkość?

Janina Orłowska.

Nie wolno, nawet gdy choroba jest nieuleczalna, nawet gdy cierpienia są potworne, dopomóc człowiekowi uwolnić się od nich, zgładzić go bezbolesnym środkiem. Może to zrobić on sam, ale wtedy obowiązkiem społecznie nakazanym jest ratowanie samobójcy, choćby się go oddawało nieszczęściu, beznadziejnej nędzy, chorobie niszczącej organizm niezdolny do pracy.

Więc być bez litości? Tak. W imieniu czego? Etyki chrześcijańskiej, która mówi że człowiek doskonali się w cierpieniu, wznosi na wyższy szczebel duchowy i kupuje tem sobie zbawienie. I jeszcze, że męstwo w cierpieniu jest nauką dla otoczenia. I wiele innych rzeczy... ale w rezultacie... człowiek cierpi silniej, dłużej, okrutniej niż jakiebądź zwierzę, chociaż i ono jest chyba doskonale umęczone przez najwyższą w przyrodzie istotę: człowieka.

Psa wolno i należy uśmiercić gdy cierpi.

Od dziecka żyłam wśród domowych, myśliwskich i podwórzowych psów, różnej rasy, charakterów i wielkości. Psy lubię, przed wojną hodowałam rasowe gatunki, ale zawsze dawałam uśmiercić chore, stare psy, gdy już radości życia używać nie mogły.

W odpowiedzi na ankietę „Przyjaciela Psa", opowiem małą anegdotę, o malutkiem życiu, które przeszło przez wielki świat jak ziarnko piasku niesione wiatrem a poruszyło uczucia aż trzech kobiet.

Pisałam raz bardzo późno w noc; udając się do sypialni posłyszałam nieopisanie żałosne, nasycone bólem, rozpaczliwe skomlenie, wołanie, lament małego pieska, dziecka psiego. Zamknęli go samego? Mały pies tego nie znosi. Nie, to był ból z cierpienia fizycznego. Dochodziło to ze składu drzewa naprzeciw okien. Sklęłam psa i właścicieli i wiedząc, że z tem nie zasnę, rozdąsana, zabrałam się z pościelą do jadalni. Po godzinie przewracania się, perswadowania sobie że niema sensu iść budzić w nocy ludzi dla psa, że czy to mało dzieci w mieście o tej godzinie płacze z głodu, a przecie nie przeszkadza to we śnie mojej egoistycznej psychice... że to i tamto... zarwałam się, ubrałam i poszłam. Nie mogłam wytrzymać, musiałam iść ratować, ulżyć... Okrążałam w noc księżycową parkan składu drzewa, psiątko, posłyszawszy przyjazny głos, zaskomlało prośbą, wołaniem o ratunek. Małe, uwięzło widać w drzewie, nie może wyjść...

Po długiem dobijaniu się do drzwi, obudzona poczciwa kobiecina objaśniła że nie może mi otworzyć, bo gospodarz zabrał klucz, ale że pójdzie odszukać psiaka. Stwierdziła że uwiązł pomiędzy belkami, ale dlaczego nie idzie do ręki, dlaczego wabiony łagodnie i cierpliwie odzywa się tylko prosząco i nie wyłazi? Nie było rady... odeszłyśmy. Zaczął padać deszcz, który zamienił się w ulewę... całą noc nie spałam klnąc psa, swoją nadwrażliwość i porządeczki miasta Wilna... O świcie, popchnęłam służącą w to miejsce.

Przybiegła prawie płacząc, niosąc w fartuchu sponiewierane stworzenie, jęczące ludzkim głosem o swojej krzywdzie z winy ludzkiej.

Był to kilkomiesięczny pokurć beznadziejnie brzydki, czarny, o szorstkiej sierści, z białemi łatami na łapach i piersi. W dodatku miał wytrąconą z biodra tylną łapę! Potwory dwunożne, o postaci ludzkiej, cisnęły go na zdechnięcie za płot, i tam miał w mękach konać niewiadomo zaco i naco? Jakże się rzucił mokry i drżący na talerzyk ciepłego mleka! Jak jadł! Brzuszyna mu się zaokrągliła, zrobił się ciepły, suchy i radosny, oczka zabłysły wdzięcznością i radością życia, ogonek merdał dziękczynnie i ufnie, a trzy łapy zaczęły podskakiwać wlokąc trzecią, bezwładną.

Patrzyłam na tę umęczoną przed chwilą mordeczkę, na oczka bezgranicznie smutne i przerażone, na sponiewieranie istoty żyjącej, a teraz na momentalne odrodzenie i zapomnienie psiaczka. I... stanęły mi w oczach twarze ludzkich dzieci, zagłodzonych w czasie okupacji niemieckiej pod frontem... tamte umęczone oczy: bez wyrazu, bez duszy, bez myśli, szarą mgłą zasnute, twarzyczki skurczone wielodniowym głodem, żółtawe i nabrzękłe, twarze widmowych kukiełek, nie dzieci. Tamten ich chwilowy błysk i ręce wyciągnięte do jadła i wnet zgaszenie, którego nie ożywiał jednorazowy posiłek. Przyroda dobroczynnie dawała psiątku natychmiastowe zapomnienie, dzieciom ludzkim zostawiała pamięć i trwogę. Niewiadomo było czem się te dzieci jutro i pojutrze nakarmi? Czy będą ślepe, czy gruźlicze z tego zagłodzenia, czy nie wyrosną z nich bandyci, mordercy, istoty niepotrzebne. A jednak ani chwili nikt się nie wahał ratować, każdy obmyślał co sobie ujmie, aby je nakarmić, powrócić do życia za wszelką cenę. Stawały się najcenniejsze ze wszystkiego, jakaś miłość, nie tylko wyższa, chrześcijańska, wołała o to, ale miłość swego gatunku. Zażarte prawo walki o życie ludzkie, które tysiącami gasło o dziesieć kilometrów od nas zaścielając trupami pola nad Naroczem, ale o które tu bezwzględnie nakaz wewnętrzny nakazywał bić się na pięści z głodem, władzami, befehlami niemieckiemi i brakiem aprowizacji, choćby wiedząc, że doskonale nakarmić, uratować wszystkie dzieci, nikt nie będzie mógł. I to było tak ciężkie.

Tu był tylko, na szczęście, mały, paskudny, kaleki psiaczek...

Dostał dużo smacznych rzeczy, rozradował się nadzwyczajnie, zaciawkał szczenięcym szczeczkiem w podziękowaniu, polizał z radosnym pośpiechem ciepłym jęzorkiem.

Zaczął z atawistyczną gorliwością badać kąty kuchni.

Służąca oświadczyła że nie ma serca iść go topić, ale znalazła spory kamień, włożyła na dno worka, wzięła psiaczka na ręce i udała się do dozorcy, aby dopilnować szybkiego i dokładnego wykonania wyroku. Zawiązali razem kamień i psiaka i smyrgnęli to w rzekę. Poszło na dno, miał sekundę strachu... tyle ile będzie miał każdy z nas... kiedyś. Cóż mogłam więcej dla sieroty uczynić?

Helena Romer.

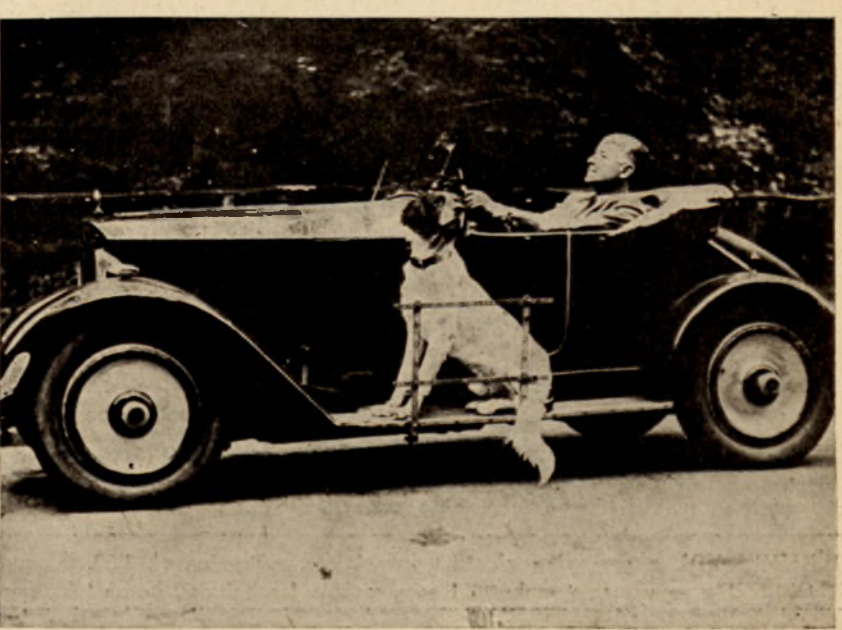
Na szerokim świecie



Dwa jamniki biorą żywy udział w agitacji wyborczej, witając na dworcu filadelfijskim przedstawicieli demokratów



20 szczeniąt urodziła duńska dożyca, będąca w posiadaniu jednego z hodowców kopenhaskich; z tego 17 zachowało się przy życiu



Proste ogrodzenie, umożliwiające automobilistom zabieranie ze sobą psów na spacer

W dotychczasowych ośmiu numerach „PRZYJACIELA PSA" 181 ilustracyj oraz prace następujących pisarzy:

prof. Odo Bujwid, prof. J. St. Bystroń, dr. Mieczysław Cena, Marjusz Dawn, Romana Dalborowa, Stanisław Dunin-Markiewicz, Wł. L. Durow, Tadeusz Heller, Marjan Hemar, Wacław Husarski, Aleksander Janta-Połczyński, Zofja Kelus-Lipkowska, Irena Krzywicka, Stanisława Kuszelewska, dr. Maksymiljan Łabędź, Kornel Makuszyński, Wanda Melcer, dr. Stefan Miller, Janina Morstinowa, Hanna Muszyńska, Zygmunt Nowakowski, Boris Pilniak (w przekładzie Miry Parzyńskiej), Ludwik Puget, prof. Wacław Roszkowski, Stefan Rygiel, Włodzimierz Salecki, Magdalena Samozwaniec, Jerzy Setton, Antoni Sobański, Jerzy Strzemię-Janowski, Juljan Tuwim, Józef Wittlin, Aura Wyleżyńska, Emil Zegadłowicz

Pokaz „Pani i jej pies" w „Simie"







Dn. 13 września b. r. odbył się w „Simie" pokaz p. n. „Pani i jej pies". „Przyjaciel Psa" wydelegował fotografa Edwarda Kocha, który dokonał szeregu zdjęć. Od lewej do prawej p. Zofja Chodkiewiczówna z gryfonem Jimem; p. Helena Grabowska z sealyham-terrierem O'key; p. Simone Piłsudska z chartami Bobem i Peggy (pierwsza nagroda); p. Krystyna Rothertowa z chow-chowem Prince-Chow; p. Halina Bormanowa z cocker-spanielem Filipem.

Życie psa

Temperatura psa. Normalna temperatura ciała psa wynosi 37,5 — 39° Celsjusza. Temperatura ta jest najwyższa w godz. 17 — 19, najniższa — o g. 1; przeciętne wahania temperatury na dobę wynoszą od jednego stopnia do pięciu kresek. Rozróżniamy u psa cztery stopnie stanów gorączkowych: niski (39° — 39,5°), średni (do 40,5°), wysoki (do 41,5°) i bardzo wysoki (powyżej 41,5°). Temperatura w wysokości 42° jest dla psa zabójcza. Z wyjątkiem bardzo wysokich stanów gorączkowych, które są dla psa niebezpieczne i które trzeba bezwzględnie zwalczać, podwyższenie temperatury należy uważać zasadniczo za objaw dodatni, bo świadczy on o walce organizmu z chorobą. Mierzymy temperaturę psa najczęściej w odbytnicy, rzadziej pod pachą lub w częściach rodnych. W odbytnicy należy termometr trzymać trzy minuty, pod pachą — co najmniej pięć minut. Trzeba też pamiętać, że temperatura w odbytnicy jest przeciętnie o jeden stopień wyższa od temperatury ciała pod pachą.

Mleczne zęby psów. Psu pozostają niekiedy zęby mleczne, mimo że wykluwają sie już inne. Pies stara się w takim wypadku pozbyć zębów mlecznych przez energiczne gryzienie kości. Kiedy to nie pomaga, należy psu zęby mleczne usunąć, w przeciwnym wypadku zęby będą mu rosły krzywo.

Niedozwolone operacje na psach w Holandji. Na prośbę klubów holenderskich, trzech profesorów wyższej szkoły weterynaryjnej w Utrechcie ustaliło listę dwunastu niedozwolonych operacyj na psach. Lista ta obejmuje z jednej strony te operacje, które — jak np. poprawienie stanu uszu, usunięcie białych plam, skorygowanie błędów uzębienia — fałszowałyby naturalne cechy rasowe psa, z drugiej szereg zabiegów z kastracją na czele, których przeprowadzeniu sprzeciwiają się względy humanitarne.

Protezy dla psów. „Royal Veterinary College" w Londynie zorganizowało obecnie oddział zaopatrujący psy i koty w protezy: w sztuczne łapy, zęby i oczy.

Najstarszy pies angielski. „The Dog World" przynosi fotografję najstarszego chyba psa angielskiego; urodzonej jeszcze dn. 26 maja 1913 r. terrierki, wabiącej się Gyp. W młodości została ona wyspecjalizowana w łowieniu szczurów. W r. 1931 miała po raz ostatni młode.

Psi bracia sjamscy. Brukselski „L'Elevage" donosi o istnieniu psich braci sjamskich: dwóch terrierów zrośniętych wzdłuż boku, będących własnością rzymskiego bankiera Pentonettiego.



„Przyjaciel Psa" ufundował specjalną nagrodę w postaci patery szklanej za najładniejszego cocker-spaniela; nagrodę uzyskał czarny Micky p. Zofji Kiedrzyńskiej

Wyścigi psów

Dziesięciolecie angielskich wyścigów chartów. W lecie b. r. upłynęło dziesięć lat od chwili zaprowadzenia w Anglii wyścigów chartów. W czerwcu b. r. 1926 r. grupa pomysłowych Australijczyków, dysponujących kapitałem 14 000 funtów, zorganizowała po raz pierwszy w Bellevue pod Manchesterem wyścigi chartów, biegnących za elektrycznemi zającami. Od tego czasu zwyczaj urządzania wyścigów psów rozrósł się w Anglii do rozmiarów — manji narodowej. Dość powiedzieć, iż koszt urządzenia nowoczesnego stadjonu wyścigowego wynosi obecnie równowartość dwudziestu kilku miljonów złotych. Na zeszłorocznych wyścigach w White City było zatrudnionych zgórą tysiąc osób, sprzedano zaś około dwóch miljonów biletów. Ta niezwykła popularność wyścigów psów tłumaczy się tem, że zaspokajają one znaną angielską pasję do zawodów sportowych i zakładów w sposób dużo tańszy niż wyścigi konne. Dziesięciolecie wyścigów psów obchodzono w Manchesterze bardzo uroczyście: samolotem sprowadzono z Londynu pozostałych jeszcze przy żvciu uczestników biegów z r. 1926.

Japonja a wyścigi psów. Władze japońskie zabroniły urządzania w Japonji wyścigów psów.

Wyścigi psów w Hiszpanji. Wyścigi psów, „carrera de galgos", należą do najpopularniejszych sportów hiszpańskich, tem popularniejszych że wyścigi koni są w Hiszpanji niemal zupełnie nieznane. Tory wyścigowe znajdują się w prawie każdem większem mieście Hiszpanji, razem jest ich blisko trzydzieści, z tego trzy znajduią się w samej Barcelonie. Wyścigi finansowane są często przez angielskich mecenasów. Przy każdym biegu funkcjonuje totalizator. Odbywają się one w bardzo rozmaitych porach dnia: w Barcelonie np. w dnie powszednie od godz. 11 wieczór do godz. 3 nad ranem — oczywista przy świetle reflektorów — i w niedziele przedpołudniem. Obsługa psów ma w całej Hiszpanji jednakowe umundurowanie: białe płaszcze z czerwonemi naszywkami oraz biało-czerwone czapki. Program każdego biegu jest następujący. Najpierw psy z przytwierdzonemi stylu numerami defilują wraz z obsługą przed publicznością, następnie są na oczach tej publiczności ważone, poczem zamknięte w dużej klatce, w której każdy pies zajmuje jeden box. Na dany znak otwiera się klatkę, a równocześnie wypuszcza się na szynie na kilka metrów przed psami wypchanego zająca. Zwycięzcy biegu raz jeszcze defilują przed trybunami.

Wypadek w Zakopanem

Związek Opieki nad Zwierzętami w Krakowie nadsyła nam komunikat treści następującej:

Dn. 19 marca b. r. zaszedł następujący wypadek w Zakopanem. Pies wilczur „Ramo", własność p. W. M., członka zakopiańskiego oddziału Związku Opieki nad Zwierzętami, wbiegł do sąsiedniego ogrodu willi „Bagatela". Na miejscu niejaki Tadeusz Piątkiewicz, emerytowany podpułkownik, strzelił do niego z werandy. Jak się później okazało, Piątkiewicz przestrzelił psu kręgosłup. Zwierzę, dowlókłszy się do sąsiedniego ogrodu willi „Rena", gdzie mieszkała jego właścicielka, zginęło w męczarniach. Na skutek starań Związku, posterunek policji w Zakopanem przeprowadził dochodzenie, nie znajdując jednak w tym wypadku naruszenia przepisów ustawy o ochronie zwierząt, skierował p. W. M. na drogę sądową, w myśl art. 263 kodeksu karnego o naruszenie cudzej własności. Ponieważ władze uzdrowiskowe i miejskie również nie podjęły żadnych kroków celem zapobieżenia ewentualnym dalszym tego rodzaju wydarzeniom, Związek Opieki nad Zwierzętami w Krakowie w trosce o dobro zwierząt tą drogą zwraca się do wszystkich właścicieli psów, którzy bądź to stale mieszkają w Zakopanem, bądź też przyjeżdżają ze swemi psami, aby nie spuszczali ich ze smyczy, gdyż narażone być mogą na postrzelenie a może śmierć w strasznych męczarniach. Jak wiadomo, rzadko która willa w Zakopanem posiada gęste ogrodzenie uniemożliwiające wbiegnięcie psa na „cudzy teren". Tam zaś, jak wykazała praktyka, nie zawsze jest bezpieczny. W wypadku jak powyższy skierowanie późniejsze na drogę sądową nie przywróci psu życia ani nie wynagrodzi mu męczarni na jakie został skazany. Z reguły — jak wiadomo — w takich okolicznościach właściciel, odstraszony długotrwałą procedurą sądową, często bardzo kosztowną, rezygnuje z oskarżenia. Jeszcze raz więc ponawiamy ostrzeżenie.



Transparent „Przyjaciela Psa" (zdjęcie Władysława Cykowicza)

W „Skrzynce do listów" redakcja „Przyjaciela Psa" w miarę możności udziela bezpłatnych odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące hodowli psa

Hodowla terrierów na Śląsku

Amatorska hodowla terrierów „Altesse" (właściciel Leon Lamla) istnie w Knurowie na Górnym Śląsku od 1932 r.

Hodowla obejmuje obecnie cztery odmiany terrierów, a mianowicie: airedale-terriery, welsh-terriery, scotch-terriery i ostrowłose foxy, stale odświeżając swój materjał zarodowy przez nowe pierwszorzędne importy.

Z nowo importowanych suk zarodowych wypada specjalnie podnieść airedele-terrierkę, „Frasquati Judith", córkę słynnego, dotychczas nigdy niepobitego na wystawach „zwycięzcy świata 1935 r." i zdobywcy 18 świadectw na championa międzynarodowego, odznaczonego w Anglji 20 pierwszemi nagrodami „Hathaway Democrata", syna najwspanialszego airedale'a świata „Stockfielda Aristocrate". Matką wspomnianej wvżej suczki jest „Wrose Glory", zdobywczyni 5 świadectw na championu międzynarodowego. „Judith" reprezentuje typ nowoczesnego airedale'a z fenomenalnie długą i wąską głową, liczy obecnie 20 miesięcy i pokrytą będzie po raz pierwszy w lutym 1937 r.

Wymienić należy również welsh-terrierkę „Maid of the Sea", pochodząca także z najlepszych rodziców Anglji. Zdobyła ona już jako własność hodowli tytuł „zwycięzcy świata 1935 r." i w b. r. świadectwo championa międzynarodowego. „Maid" miała w ub. r. pierwszy miot, który sprzedany został częściowo do Niemiec.

Do pokrycia obcych suk posiada hodowla rocznego airedale'a „Frasquati Juraco", syna „Hathaway Democrate" i „Llanipsa Patricii", zdobywczyni 6 świadectw na championa międzynarodowego.

„Juraco" jest godnym potomkiem swoich wielkich przodków i zadebjutuje w przyszłym roku po raz pierwszy na międzynarodowej wystawie zagranicznej; nie ulega kwestji, że odznaczony zostanie również notą „doskonały". Skorzystanie z „Juraco" jako reproduktora kosztuje zł. 100.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1,20 kwartalnie, zagranicą zł. 1,50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.
OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerok. 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI